

VIII

To wszystko? Nie.
Ta opowieść nigdy nie może się skończyć.
Nie można przestać być alkoholikiem. Drobny błąd może przekreślić wszystko.
Ale jest jeszcze coś. W ostatnich zdaniach pada nieoczekiwana konfesja: W. nie potrafi być radosny.

„Dopisał jedenaste przykazanie. Bądź radosny. To ostatnie było najtrudniejsze. Owszem, W. był trzeźwy, umiał już radzić sobie na co dzień z emocjami, ale nie miał dawnego błysku ani radości. Czuł, że wszystko, co do tej pory robił, może nie wystarczać. Ale nie wiedział, czy jest na to jakaś rada. Zaczął jej szukać. Trwało to dwadzieścia lat”.

Czekamy zatem na kolejną powieść.
Może będzie dobrze.

Michał Larek

Nu, pagadi, Wolfgang

Bohdan Zadura
Zmartwychwstanie ptaszka (wiersze i sny)
Biuro Literackie
Wrocław 2012

Nocne życie (2010), poprzedni tom Bohdana Zadury, było zbiorem bardziej jednorodnym, tak pod względem gatunkowym, jak i stylistycznym (choć tę drugą kwestię trzeba by rozwinąć w niuanse). Owszem, trafiła się dłuższa ballada oraz jeszcze obszerniejszy tytułowy cykl nocnych itinerariów, śnionych przynajmniej po części – ton książki nadawały przecież wiersze podejmujące tradycje krótkich form: miniatury poetyckiej, fraszki, aforyzmu. W tomiku zaś najnowszym już podtytuł okaże się rozróżnieniem rodzajowym: całą drugą część, owe „i sny”, zajmującą połowę książki, wypełniają zapisy prozą. Ich oniryczno-dziennikowy charakter jest nawiązaniem do wspomnianego cyklu Nocne życie w początkach kwietnia 2009 z tomu sprzed dwóch lat.

Ale i początek nowej książki wygląda na skrywany, niemniej mocny epicki gest. „Ius primae noctis” (znowu noc!), cytuję całość: „geny poszły w lud”. Żart? Jak najbardziej, nie nazbyt zresztą poprawny politycznie (czego, rzecz jasna, autorowi nie zarzucam). Rozważanie dziejów społeczeństw? A dlaczego by nie: skoro zatem (w życiu społecznym) jest jak jest, to albo tamte (wysokie) geny poszły na marne, albo też niewiele warte były już na wyjściu... Tego rodzaju odczytania można przymierzać, można nimi grać, byle tylko z żartu nie zrobić jednoznacznie poważnej sentencji – istotniejsze sensy powstają jednak w innych miejscach (bo lektura buduje miejsca dla tekstu,

autora, czytelnika). Tak więc geny poszły w lud, jak kiedyś ogary poszły w las. Jednowersowy wiersz Zadury zdaje się echem słynnego początku Popiołów Żeromskiego. Spokojnie, nie proponuję dalszej ani dokładniejszej paraleli, idzie mi tylko o domniemaną epickość początku tomiku poetyckiego. A epika chce zazwyczaj zagarnąć więcej.

I w pierwszej, poetyckiej, części Zmartwychwstania ptaszka zdarzają się wiersze wręcz wyzywająco epickie: tytułowy konsekwentnie nazywany „opowieścią”, Matka odchodzi z nieobojętnym powtórzeniem tytułu, łączący obie części utwór pod tytułem – również znanym skądinąd – Quo vadis, są poza tym wiersze narracyjne (Koincydencja, Rok Chopinowski). Czy można jednak uprawiać epikę za pomocą krótkich form lirycznych? Genologiczna kwestia została postawiona przez Zadurę prawie wprost, w pierwszym zdaniu pierwszej prozy części onirycznej:

„Z wydarzeń tej nocy, do spisania których potrzeba byłoby z dziesięciu Homerów [tak więc, sami państwo widzą, epików par excellence – AP], sobie zostawiam tylko epizod, interludium, etiudę”.

Deklaruje się tedy Zadura jako skromny zapisywacz drobiazgów, zorientowanych przeciw na (wielką) epikę. Nie chodzi tu o aksjologiczną autokreację (o niej za chwilę), pojawia się natomiast problem dzisiejszych możliwości – poznawczych, estetycznych i wielu innych – gatunków i rodzajów literackich. I żeby nie było za łatwo, nie zaszkodzi zacząć rekonstrukcji sensów od aporii. Trzy linijki beztytułowej całości: „Od krzyku ryb / pękają bębni / maszyn do szycia”. I co? Pół biedy, że ryby z reguły nie krzyczą. Gorzej, że nie da rady połączyć ich z technologią z dwóch dalszych wersów. Wiersz z założenia nierozstrzygalny, raczej dla Zadury nietypowy. Nie żeby pisywał poezje oczywiste, zasadniczo jednak jego czytelnik nie ma kłopotów ze wstępnym (powtórzyć: wstępnym) rozumieniem wiersza.

A może ta ichtiologiczna przestroga spowodowa-

na została różnymi łatwymi, pospieszonymi przyjęciami wierszy Zadury? Bo naprawdę sporo on wymaga, od odbiorcy i od świata. Żywi bowiem taką oto Wątpliwość: „Czy można mieć pewność / że potrafią policzyć / kilkanaście milionów głosów // jeśli nie potrafią / odmieniać liczebników?”. Nie zamierzam bynajmniej kruszyć kopii w obrobie poziomu umysłowego tych ani owych (wiadomo których), nawet jednak kilkanaście milionów to ciągle tylko arytmetyka, a polska fleksja liczebnika stanowi kwestię doprawdy zawilą. (Jeśliście nieprzekonani, przeczytajcie głośno na przykład coś takiego: wszystkim 187 579 czytelnikom i czytelniczkom Zadury podoba się ta poezja).

Z zagadnieniami rodzajów literackich łączy się (autokreacyjna) kwestia bycia pisarzem, dla której nawet Głupie myśli (jak zwoździ tytuł) jawią się jako wcale zasadnicze. „Jakie mam prawo / żeby żyć dłużej / niż Albert Camus?”. Pytanie, owszem, egzystencjalistyczne, bez odpowiedzi. Zarazem mocno dla poety ryzykowne, bo zestawienie długości czyjegoś minionego życia z moim życiem trwającym to jedna rzecz, a odniesienie akurat do wybitnej postaci XX-wiecznej literatury to druga, wcale ważna. Czy zatem Zadura porównuje się z Camusem? Nie, ale nie do końca. Strofoidę bez kłopotów da się uznać za mocno naznaczoną egzystencjalnie figurę modestii, w myśl której absurdalnie krótkie życie wielkiego Camusa przeciwstawione zostaje afirmatywnemu i lękliwemu zarazem postrzeganiu własnego, dłuższego życia. Trzeba zresztą mieć co najmniej jakieś 50 lat uczestniczenia w kulturze polskiej, żeby zrozumieć i mocniej poczuć, co znaczy przywołanie właśnie autora Mitu Syzyfa... Na pokornym kontraście chyba się nie kończy. Albert Camus i ja też – nie, tak nikt rozsądny nie powie. Lecz: pamiętam o Camusie, wiem, ile mu zawdzięczam (choćby młodzieńczych literackich uniesień), i jeśli sam piszę, to również dlatego, że o coś w tym wszystkim chodzi – a, to już inne gadanie, jak najbardziej dopuszczalne.

Konkrety personalne mogą być również inne: „Albo Krzysz Mętrak / Witek Maj / żeby nie szukać daleko”. Obaj byli znajomymi poety, porównań aksjologicznych tu nie ma. Gdyby wiersz już się kończył, byłby zaznaczeniem egzystencjalnego niepokoju połączonego z żalem za zmarłymi. Poeta podbija jednak paralelną stawkę, zamykając wiersz żartem – chyba jednak cokolwiek aporetycznym: „Szczęście? // Na szczęście / jeśli chodzi o Johanna Wolfganga Goethego / to pytanie / jest bez sensu”. A niby dlaczego? Bo autor Fausta żył długo i nie mierzy się olimpijskich odległości? Nie chodzi jednak o ewentualne stawanie w szranki z Goethem, tylko o nader dotkliwą różnicę wieku. Goethe zmarł, przeżywszy 83 lata, Zadura (oby żył dłużej niż Ernst Jünger) jest obecnie młodszy o lat 16, i nie jest to już liczba określana mianem całego życia. Absurd poetyckiego żartu sprowadzałby się zatem do tego, że Goethe jest znacznie bliżej, niż się przypuszczało.

Odległość od niemieckiego romantyka polega na czymś innym. Otóż – przy wszystkich romantycznych odkryciach niespójności egzystencji – żył on w kulturze spełnienia, w istotny sposób przyczyniając się do jej kształtu. W XX i XXI wieku trudno o taki model kultury (raz jeszcze warto wspomnieć Camusa!). „Choć jest miara nie ma miary wszystko chore”, zapisze Zadura w parodii Rymkiewicza. Kłopot jednak, że wiersz jedynie udaje parodię, nie będąc ścisłym naśladowaniem JMR-owskiej prozodii. Nie jest to kwestia uchybienia kunsztowi, ale prymat własnego rytmu: nawet drwiąc, drwię moim jedynym oddechem. Intertekst (para)rymkiewiczowski jest oczywisty. Kiedy jednak Zadura w Roku Chopinowskim prowadzi swój wiersz w nieoczekiwanym kierunku, jakby bez pointy, naśladowując w ten sposób strukturę krótkich form właśnie Chopina – o, wtedy poeta szczególnie potwierdza swoją nieoczywistość.

Adam Poprawa

Lotna architektura

Andrzej Niewiadomski

Dzikie lilie

Wojewódzka Biblioteka Publiczna

i Centrum Animacji Kultury

Poznań 2012

Andrzej Niewiadomski, projektując (koniecznie trzeba użyć tu tego słowa) swój najnowszy tomik *Dzikie lilie*, pozostawił kilka istotnych, choć wcale niebanalnych wskazówek interpretacyjnych dla czytelnika. Pójdźmy za radą znajdującą się w krótkiej, umieszczonej na końcu, notce (s. 102) i potraktujmy zbiór jako opis drogi do początku. Dodajmy, cyklicznej drogi do początku. Wokół obsesji powtarzalności i poszukiwania źródeł organizują się bowiem główne sensory tych wierszy. Oczywiście, owe dwa punkty orientacyjne nie wystarczą, by opanować dynamikę i gęstość znaczeń książki. Trzeba zatem odważnie podążyć szlakiem zamieszczonych w niej tekstów.

Nie bez powodu używam określeń kojarzących się z ruchem. Niewiadomski, mówiąc nieco metaforycznie, wyprawia swoją poezję na wieczną wędrówkę. Nie jest to chaotyczna pogoń, lecz powolna podróż lub, szerzej, stateczne poznawanie rzeczywistości. Dlatego znajdziemy w tych wierszach wiele pojęć kojarzących się z różnymi formami opanowywania przestrzeni. Bohater liryczny Niewiadomskiego z zapatrzonego w mapę kartografa (*Insula dulcamara*, Remont) przemienia się w geologa (warto zwrócić uwagę na różnorodne, wplecione w teksty, nazwy minerałów i skał). Dominującą rolę odgrywa jednak architektura, czego doskonały przykład